



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Regina Bednarek

W ciągłym strachu

Urodziłam się w 1936 roku w rodzinie chłopskiej w miejscowości Sz., oddalonej od Wielunia o 24 kilometry. Dzieci w naszej rodzinie przychodziły na świat w następującej kolejności: rok 1926 – Tadeusz, 1929 – Andrzej, 1932 – Władysław, 1935 – Teresa (zmarła w niemowlęctwie), 1936 – Regina (ja), 1939 – Zofia, 1942 – Janina. W momencie wybuchu II wojny światowej było nas pięcioro.

Nie pamiętam wybuchu wojny, znam to jedynie w opowiadaniach moich rodziców – szczególnie ojca. O świcie 1 września 1939 roku zbombardowany został Wieluń, w tym m.in. szpital. Ludzie chorzy w białym dotarli do Sz. po 2-3 godzinach marszu. Wybuchła panika i powstało wielkie zamieszanie. Każdy jak mógł przygotowywał się do ucieczki przed Niemcami. Moi rodzice również załadowali na furmankę dzieci, pierzynę i zapas jedzenia. Z krową żywicielką uwiązaną z tyłu wozu w pośpiechu opuścili dom. Moja siostra – Zosia miała 5 miesięcy, a ja 3 lata. Po tygodniu tułaczki, wygłodzeni i brudni wróciliśmy do domu. Zabudowania gospodarcze na szczęście nie zostały spalone.

Jak wyglądał mój dom rodzinny? Była to typowa wiejska chałupa, połączona z oborą, kryta słomą. Mieliśmy dwie izby, małą kuchnię i dość duży pokój. Pamiętam dokładnie drewniane belki na suficie i wiszącą u powały małą choinkę na Boże Narodzenie. Dom położony był bardzo blisko lasu, pod tzw. „Mokrą Górą”. Z tym lasem kojarzą mi się różne wydarzenia – jedne radosne, inne przesyte grozą. Z pierwszych lat okupacji niewiele pamiętam. Mój brat Tadeusz często uciekał do lasu przed łapanką i wywózką na roboty przymusowe. W 1941 roku Niemcy złapali go i wywieźli do fabryki papieru we Wrocławiu. Miał wtedy lat 15. Brat Andrzej odwiedził kiedyś ciocię Jadwigę P. i tam nocował. Niemcy zabrali go razem z wujostwem na roboty przymusowe. Nikt nie pytał czyje to dziecko... Trudno sobie wyobrazić co przeżywała nasza mamusia. Rodzina uległa rozsypce...

W ciągłym strachu minął kolejny rok wojny – 1940. Jedliśmy na zmianę polewkę z ziemniakami, barszcz z ziemniakami i kaszę. Często i tego brakowało.

Pierwszą przymiarkę do wywózki Niemcy zrobili właśnie we wspomnianym roku 1941. Matka była w kolejnej ciąży i ojciec uprosił Niemców, by nas zostawili. W roku 1942 urodziła się moja siostra Janina. Pamiętam ten dzień. Wyprawiono nas w trójkę do sąsiadów, a do domu przyszła „babka”, która odebrała poród. Ojciec pokazał nam nowe dziecko o czarnych oczkach. Z nakazu Niemców dziewczynki mogły otrzymywać (w naszym rejonie zamieszkania) tylko imiona Kazimiera lub Janina. Po wojnie w klasie mojej siostry były same Kazimiery i Janiny.

Wczesnym rankiem w marcu 1944 roku załomotano do drzwi naszego domu. Na ubranie się i spakowanie niezbędnych rzeczy dano jedną godzinę. Tak zwaną podwodą zawieziono nas na stację kolejową w Siemkowicach i załadowano do bydłęcych wagonów. Rozpoczęła się gehenna – podróż

w nieznane. Razem z nami zabrano panią Z. Z synem Stanisławem, rodzinę J. Z córką Bernadettą i wielu innych ludzi z okolicznych wiosek. Podróż trwała długie tygodnie. Najpierw zawieziono nas do Poznania i tu staliśmy na bocznicę 2 tygodnie. Tutaj spędziliśmy Wielkanoc 1944 roku. Dostawaliśmy do jedzenia jakąś zupę, najczęściej z czerwonych buraków. Czasem dobrzy ludzie na postoju dawali nam coś ciepłego do zjedzenia.

Później zawieziono nas do Wiednia, gdzie koczowaliśmy 7 tygodni. Pamiętam, że Niemcy zarządzili przegląd czystości głów. Zawszonych golono na przysłowiowe kolano. Ten los spotkał Bernadettę, której potem rodzona matka nie mogła rozpoznać. Profilaktycznie smarowano włosy jakimś żrącym płynem. Mnie zalano oczy. Pamiętam ten ból i zbawienny strumień zimnej wody, którą przemyto mi oczy. Zarządzono kąpiel dla wszystkich. Osobno kąpały się kobiety z dziećmi i osobno mężczyźni. Pamiętam beztrzęsio pluskające się dzieci i nagie ciała starych i młodych niewiast. Dopiero po kilku latach dowiedziałam się dlaczego niektórym młodym kobietom spływała krew po nogach.

Z Wiednia przetransportowano nas do Czechosłowacji do miasta Znojmo. Tutaj, jak mówił ojciec, odbył się „targ niewolników”. Właściciele gospodarstw wybierali sobie siłę roboczą. Wybierano dorosłych, młodych nie obciążonych dziećmi. Moi rodzice mieli nas czworo w wieku od dwóch do jedenastu lat. W konsekwencji trafiliśmy do państwowego majątku ziemskiego w miejscowości Trawnik nad rzeką Dyją (nieдалeko Znojma). Ulokowano nas w drewnianym baraku razem z sześcioma innymi rodzinami, w dwóch niewielkich izbach. Razem było tam 29 osób, w tym sześcioro dzieci do lat 10 i troje do lat 15. Trzecią izbę w tym baraku zajmowali Ukraińcy. Od prawie 10 tygodni był to dla nas pierwszy dom stały – nie na kołach.

Byliśmy wynędzniali. Moja prawie dwuletnia siostra przestała chodzić, a mamusia mając 41 lat ważyła 38 kilogramów. Ta waga przeszła do historii naszej rodziny. Mamusia była chora i przez kilka pierwszych tygodni nie mogła pracować. Ojciec i mój 11-letni brat (a później i matka) zatrudniani byli w polu i budynkach folwarcznych. Wychodzili do pracy o świcie, a wracali o zmroku. Ja mając zaledwie 8 lat opiekowałam się młodszymi siostrami. Posiłki otrzymywaliśmy w zbiorowej garkuchni. Wielkim przysmakiem dla dzieci były drożdżowe „buchty”, które dostawaliśmy raz w tygodniu. Ojciec początkowo otrzymywał 5 marek za miesiąc pracy – po odliczeniu kosztów utrzymania chorej żony i trzech córek. Władek mając 11 lat chodził do roboty, przy czym miał obowiązek wypracować pół normy osoby dorosłej. Po odliczeniu kosztów jedzenia i mieszkania otrzymywał miesięcznie 41 marek.

Majątkiem zarządzał szafarz Siarka – z pochodzenia Czech, wielki wielbiciel Niemców. Włodarzem był Kitka, również Czech. Pamiętam, jak w okresie żniw szafarz budził o świcie ludzi do pracy wrzeszcząc: „Chonem, chonem pójdem stawat otyпки w pajdulaki” (tzn. „Szybciej, szybciej pójdziemy stawiać snopki w kopy”). Postrachem dzieci był stróż Babicz oraz Ukrainiec zwany Długim Wasylem. Długi Wasyl chwycił i zabijał psy. Wytapiał z nich smalec, którym leczył swoje chore płuca.

W czasie pobytu na Trawniku spotkało mnie wielkie nieszczęście. Skaleczyłam się w palec. Cała ręka do łokcia była opuchnięta. Rwący ból powodował, że nie spałam całe noce. Moje krzyki budziły dzieci i dorosłych. Wreszcie władarz Kitka zezwolił tatusiowi zawieźć mnie do szpitala w Znojmie. Byłam tam kilka dni. Rękę mi zoperowano. Pozostał zniekształcony, sztywny palec wskazujący u prawej ręki oraz szrama wzdłuż całej dłoni.

Pamiętam zbliżający się front i wyjazdy w popłochu Niemców. Uciekali wozami konnymi, którymi powozili Ukraińcy. Przed nalotami i bombardowaniem skryliśmy się pod wiaduktem kolejowym. Tylko przez szczęśliwy zbieg okoliczności nie zginęliśmy, gdy został on zaatakowany przez samoloty.

Powoli działania wojenne ucichły, ale nie przestali ginąć ludzie. Wszędzie były niewypały i miny. Pamiętam niesionego na drzewach mężczyznę, któremu mina urwała nogi. Wojna się skończyła. Do Polski wracaliśmy wołami, potem koniem, wreszcie pociągiem, bo konia zabrali Rosjanie. Do domu dotarliśmy 18 czerwca 1945 roku. Powrócili również moi bracia Tadeusz i Andrzej. Szczęśliwie wszyscy przeżyliśmy koszmar wojny.

W czasie okupacji żadne z nas – dzieci nie chodziło do szkoły. Ojciec wieczorami uczył mnie i brata Władysława czytać i pisać. Bardzo mi to pomogło, gdyż po wyzwoleniu 7-klasową szkołę powszechną ukończyłam w ciągu 5 lat. Bez większych opóźnień ukończyłam liceum ogólnokształcące.

Jakim było nasze dzieciństwo – moje i mojego rodzeństwa? Odpowiedź jest prosta. Było głodne i biedne. Dzieciństwo – dzień po dniu zabierała nam wojna. Byliśmy nad wiek dojrzały. Przetrwaliśmy ten koszmar dzięki naszym Rodzicom, dzięki ich opiece, poświęceniu i zapobiegliwości.